

KIH - a

Kurier Instytutu Historii nr 7, czerwiec 2005

Numerem czerwcowym kończymy tegoroczną aktywną działalność Koła i udajemy się na zasłużony wypoczynek wakacyjny.

Ten numer Kih-y, który niewątpliwie zabierzecie ze sobą pod namioty, w góry, nad morza i oceany świata, jest w związku z tym i krótszy, i lżejszy (wagowo, nie gatunkowo).

Za nami pierwszy rok istnienia KIH- y. Mamy nadzieję, że nie ostatni. Wszystkim życzymy miłej, przyjemnej, pełnej wrażeń i pomyślnie zakończonej sesji oraz nie mniej udanych wakacji.



Redakcja

Prawdziwa (lecz lekko podkoloryzowana) historia działalności Studenckiego Koła Naukowego Historyków.

Moja przygoda z Kołem Naukowym rozpoczęła się w październiku bieżącego roku akademickiego. Wcześniej o czymś takim nie słyszałem, i podobno niewiele straciłem, gdyż w Kole panowała dyktatura i to bynajmniej nie proletariatu. W tym roku natomiast pewna koleżanka o wyglądzie rusałki i melodyjnym głosie zaproponowała znieścacka, żebym się tam przeszedł, gdyż ona widziała plakaty, warto by było, etc. Dowiedziawszy się w ten sposób o istnieniu Koła, wybrać się na jego zebranie raczyłem. Mój pierwszy raz nie nastrojał optymistycznie – wszedłem do auli i zobaczyłem wpatrzone we mnie ponure i zarośnięte „twarze” ćwierćinteligentów, stanowiących siłę żywą Koła. Pierwszą myślą było wyjście, ale niestety, usłyszałem tubalny głos szefa Koła, który stwierdził, że zaprasza. Cóż, „ninja nie może być miękka” – zostałem, solennie obiecując sobie, że powrócę tu tylko z ciężkim sprzętem bojowym. Pierwsze spotkanie okazało się być organizacyjnym – wciągnięto nas na oficjalną listę Koła, poruszono kwestię projektu naukowego, wyjazdu na doroczny spęd młodych historyków i gazety studenckiej. Co do gazety, padły głosy, że to będzie kicha. Na szczęście nikt nie wspominał o dobrowolnych składkach. Na następnym kole poczułem się pewniej, głównie dlatego, że większość siły żywej się wykruszyła, no i spotkałem kolegę z roku, który okazał się być dyżurnym Trollem Koła. Dodatkowo do składu doszedł jeden znany w całym instytucie Nadgorliwiec, co rokowało nadzieje, że w razie jakiejś roboty on to zrobi, a na całe Koło spłyną laury i splendory. Koło, mimo początkowego marazmu zaczęło działać... Pierwszymi oznakami jego działalności były spotkania z Przedstawicielami Kadry Naukowej Instytutu Historii – kto nie był, niech żałuje. Coraz rzadziej opuszczałem zebrania Koła, nie bałem się już poszczególnych jego członków, ba, niektórych nawet rozpoznawałem poza zebraniem. Zebrania były raczej kameralne; ilość osób, jakie tam przychodziły, oscylowała między liczbami 5 i 7 (w porywach do 8). W bólach rodziła się KIH-a. Z zakamarków Koła wypęzła wstydliva sprawa biuletynu naukowego; według Szefa Koła „wypadałoby coś zrobić, w zeszłych latach coś robili”. Termin ostatecznego oddania artykułów był wyznaczony na „przed świętami”, ale tylko Nadgorliwiec go dotrzymał. Przy okazji sprawy biuletynu, doznałem lekkiego szoku dowiedziawszy się, że Koło ma Opiekuna z Kadry naukowej. Gdy rozmawiano o nim wcześniej, brałem go za postać mityczną, jako że nigdy go nie widziałem. Jednakże okazało się, że Szefer czasem ma z nim kontakt... pseudonimy jakimi posługuje się Opiekun, to „Widmo” i „Nieuchwytny”. Na szczęście dla Koła, wspierały nas też inne osoby z kadry – jedna z nich pragnie pozostać anonimowa. W sumie nie dziwię się. Na początku nowego roku kalendarzowego, głównym problemem Koła okazał się być wyjazd na spęd historyków. Spęd odbywał się w Gdańsku, udał się tam prawie kompletny skład Koła... potem Instytut miał otrzymać list z pogrózkami i żądaniem

odszkodowania od jednego z hoteli, w którym młodzi historycy nocowali. Gwoli ścisłości należy dodać, że pozostałe Uniwersytety też takie listy miały dostać, jednak nasze Koło przeprosiło jako pierwsze (i prawdopodobnie ostatnie). To, czy sam Spęd opisać, jest dalej przedmiotem zażartej dyskusji wśród członków Koła. Po zjeździe działano dalej. W kwietniu ze względu na specjalne okoliczności po raz pierwszy wydano w terminie kichę, która w międzyczasie rozrosła się do stron dwunastu. Skład aktywnych członków Koła poszerzył się, zaczęły dochodzić nowe osoby, a także te dawno niewidziane, bądź te, które były tylko na zebraniu organizacyjnym. Troll razem z Szefem usiłowali wyłudzić refundację za wzięcie udziału w Spędzie, lecz Dziekanat bronił się mocno. W końcu po sfałszowaniu własnego podpisu, Szef zbliżył się do celu. Zamykając rok działalności, Koło ma kilka niezłatwionych spraw, w tym brak kasy na wydanie biuletynu (szuka się sponsorów). Równocześnie działano najprężniej od ubiegłego wieku. Na każdym zebraniu Koła panuje dekadencja atmosfera, pełna wzajemnych uszczypliwości, ciętych ripost, anegdotek o Kadrze, a także obmawiania nieobecnych. W tej chwili opracowywany jest nowy statut Koła... Miejmy nadzieję, że w przyszłym roku nie nastąpi „zawrót głowy od sukcesów” i Koło utrzyma dotychczasowy przyrost formy.

W razie publikacji, TO MA BYĆ ANONIMOWE !!

JT
(właściciel Zielonego
Roweru)

Dziedzictwo kłopotliwe czy oryginalne? Casus łódzki

Piękna fabryka w centrum Łodzi wyleci w powietrze. Już są wywiercone dziury pod dynamit. A to wszystko za zgodą wojewódzkiego konserwatora zabytków. Te skandaliczne wiadomości dotyczące losu dawnej „Norbelany” przynoszą nam najnowsze wydania gazet. Dobry to moment, aby sformułować kilka uwag dotyczących stanu świadomości historycznej łodzian na przykładzie losu zabytków w przestrzeni miasta.

Łódź, rozwinięta w wyniku XIX-wiecznej rewolucji przemysłowej, w znacznym stopniu – zwłaszcza z powodu zmian składu narodowościowego i daleko idącej wymianie mieszkańców w okresie po II wojnie światowej – od niemal zawsze ma problemy z wypracowaniem własnej świadomości historycznej. Rzecz to bez wątplenia zrozumiała, zwłaszcza jeżeli porównać miasto z takimi ośrodkami o ukształtowanej wielowiekowej tradycji, jak Piotrków czy Kalisz. Nie pozostaje tajemnicą, że wiedza łodzian na temat przeszłości ich grodu jest, w przeważającej mierze – żenująco niska. Przyczynę

takiego stanu rzeczy nietrudno zdiagnozować. Jest to pochodna faktu młodego wieku tego ośrodka jako metropolii, z czego notorycznie wysnuwany jest absurdalny wniosek o braku (ciekawej) historii oraz rzekomej brzydocie miasta*, z wielką ochotą wykorzystywany przez decydentów w ostatnich dziesięcioleciach. Wiele osób i instytucji od lat z sukcesami podejmuje trud zmiany tego stanu rzeczy. Aby jednak osiągnąć wymarzony cel należy w sposób jednoznaczny ustalić te elementy, które w sposób największy kształtują tożsamość Łodzi.

Rolę taką z pewnością spełnia przestrzeń miejska, będąca funkcjonującą po dziś dzień niezwykle w skali świata pamiątką burzliwych lat „Ziemi Obiecanej”. Wspomniana przestrzeń, na którą składają się w równej mierze obiekty przemysłowe oraz mieszkaniowe, począwszy od zakończenia wojny ulega systematycznej dewastacji z tytułu zaniedbania oraz świadomego niszczenia. Za wyjątkiem aktywności okupanta hitlerowskiego, przejawiającej się w zniszczeniu judaików oraz polskich pomników i symboli narodowych, a także terenu getta, Łódź wyszła z wojny bez poważnych zniszczeń. Dawało to szansę na zachowanie w świetnym stanie centrum Łodzi jako przykładu miasta przełomu XIX i XX wieku. Niestety z przyczyn politycznych, to, co stanowiło istotną wartość, było uważane za dziedzictwo wstydlive, symbol kapitalizmu i „rządów burżuazji”.

Pierwszym, spektakularnym przykładem procesu dewastacji była niewątpliwie budowa trasy NS, czyli ciągu ulic Zachodnia – Kościuszki w latach 50-tych ubiegłego stulecia. Przy jej okazji zniszczeniu uległa, niewypełniona zabudową aż do dziś, wschodnia strona ulicy Zachodniej. Zniszczono stary cmentarz żydowski, który na uhonorowanie czekać musiał jeszcze przez pół wieku. Podobny charakter miała niewątpliwie likwidacja historycznej ulicy Głównej w czasie budowy trasy WZ. Obie te inwestycje przyniosły w tkance miejskiej negatywne skutki. Ciąg północ-południe, ulokowany zbyt blisko ulicy Piotrkowskiej, bardzo szybko się zapełnił, degradując reprezentacyjny charakter dawnej łódzkiej Promenady. Trasa wschód-zachód *de facto* podzieliła miasto na dwie części. Na szczęście nie doszło do zrealizowania projektu budowy łódzkiego odpowiednika pałacu kultury, który miał zajmować obszar kilku hektarów w okolicy dzisiejszego Centralu. Rok 1973 przyniósł barbarzyństwo w postaci likwidacji ostatnich zachowanych domków tkackich z lat 20-tych XIX wieku, znajdujących się przy Piotrkowskiej (!). Powodem tej decyzji było założenie władz, jakoby te parterowe budynki ujmowały miastu prestiżu.

Budowa wielkich osiedli mieszkaniowych odbywała się kosztem inwestycji w Śródmieściu, co doprowadziło w rezultacie do znacznej deklasacji tych terenów. Wiele placów po wyburzonych śródmiejskich kamienicach po dziś

* Nawet encyklopedia Britannica stwierdza, że z powodu rozwoju w XIX wieku Łódź posiada zaledwie kilka ładnych budynków. Trudno powiedzieć jakaż to reguła głosi, że ładne mogą być jedynie zabytki starsze, ale wiadomo na pewno, iż jest to reguła zupełnie nieuzasadniona.

dzień nie została odbudowana. Jedna z elegantszych łódzkich ulic, Wschodnia, stała się po wojnie miejscem o niezbyt przychylniej opinii. Także wielkie zakłady przemysłowe wykorzystywały zabytkowe budynki w sposób rabunkowy. Również gmachy użyteczności publicznej nie zawsze były użytkowane w sposób właściwy. Najlepszym dowodem jest niewątpliwie los budynku Towarzystwa Kredytowego przy ulicy Pomorskiej, który został opuszczony przez zajmujący go Instytut Stomatologii w stanie katastrofalnej dewastacji. Przykłady zniszczeń można by mnożyć.

Zmiany w tkance miejskiej w latach PRL-u miały na celu, często źle rozumianą, modernizację. Argumentowano wówczas, że rozwój miasta jest celem wznioślejszym niż dbałość o jego historyczny kształt. Stąd wynikały daleko idące przeobrażenia takich części miasta jak popularny Manhattan, okolice dworca fabrycznego i kaliskiego. W tym ostatnim przypadku owa „modernizacja” doprowadziła w końcu do likwidacji jednego z najciekawszych budynków dworcowych w Polsce poprzez zastąpienie go obiektem niewiele lepszym, do trwających przez wiele lat i nie dokończonych do dziś robót drogowych na szeroką skalę, wreszcie marginalizacji tego miejsca w świadomości łodzian.

Po roku 1989 Łódź musi zmierzyć się z nowymi problemami. Zaniedbania półwiecza stanowią istotny problem dla administratorów starych budynków, przede wszystkim gminy, której nie stać na konieczne inwestycje i programy rewitalizacyjne. Dotyczy to w nie mniejszym stopniu kamienic prywatnych. Często rozbiórki stają się jedynym rozwiązaniem. Odnowienie fasad przy Piotrkowskiej bynajmniej nie rozwiązuje tego problemu. Wille i pałace, o ile nie trafią pod opiekuńcze skrzydła wielkiej instytucji, jak pałac Biedermanna, przez lata niszczeją w oczekiwaniu na potencjalnych nabywców. Nowym zagrożeniem jest zdewastowanie historycznych obszarów przemysłowych. Objęte ochroną konserwatorską odstraszały one inwestorów ze względu na wysokie koszty adaptacji. Przykład Manufaktury jest jednym z nielicznych wyjątków potwierdzających regułę. Gdy już dochodzi do inwestycji, fabryki ulegają przekształceniom, niszczącym ich pierwotny charakter. Tak dzieje się na przykład na terenie dawnej fabryki Grohmana, użytkowanym przez specjalną strefę ekonomiczną. Inne obiekty, często stanowiące istotną wartość kultury spotyka okrutny los. Tak stało się z Scheiblerowską nową tkalnią, którą w 1987 roku odwiedził Jan Paweł II. W wyniku działalności nieuczciwego inwestora obiektu tego nie da się już w praktyce uratować.

Okres PRL odcisnął głębokie piętno także w świadomości współczesnych włodarzy miasta. Wspomniany we wstępie artykułu przykład „Norbelany” to nie jedyny dowód na niezrozumienie potrzeby zachowania niezwyklej przestrzeni miejskiej w Łodzi. Największym problemem jest brak kompleksowego planu działania. Zabytki łódzkie stanowią ciężki bagaż, z którym nie wiadomo, co zrobić. Tylko świadomość, że również takie miejsca, jak Księży Młyn, nie tylko zaś Piotrkowska, na którą notabene władze też nie mają pomysłu, stanowią o

tożsamości Łodzi może uczynić ją miastem atrakcyjnym nie tylko dla turystów, lecz przede wszystkim mieszkańców. Inną bolączką jest bezradność na dewastację zabytków łódzkich. Z reguły urzędnicy dowiadują się o takich przypadkach ostatni. Często podejmują skandaliczne decyzje, jak znamieny przykład zgody na wyburzenie zabytkowej elektrowni w dawnej fabryce Schweikerta. Apele prywatnych osób do mediów powstrzymały demontaż urządzeń jedynej bodaj na świecie elektrowni wybudowanej w stylu secesyjnym na terenie imperium Scheiblera.

Takie miejsca jak śląskie kopalnie czy Nowa Huta stały się dziś atrakcyjnymi terenami poszukiwanymi przez grupy turystów. Szczególnie tych z Zachodu, bo u nich dawno skończyła się era przemysłowa. Wielkie huty i kopalnie znikają, a ich miejsce w gospodarce zajmują ciche sale pełne biur i komputerów. Obiekty, jakich na Górnym Śląsku jest pełno, we Francji, w Anglii czy Niemczech przeważnie wyburzono albo zmieniono w tętniące życiem eleganckie dzielnice artystyczne. Ten przydługi może nieco cytaty zaczerpnięty z tygodnika „Ozon” oddaje chyba najlepiej ogólnoswiatową tendencję zainteresowania klimatami rodem z ery przemysłowej. Dowody tego znaleźć możemy nawet wśród, z roku na rok coraz liczniejszych, turystów z zachwytem penetrujących unikatowe uliczki na Księzym Młynie. Tyle tylko, że w odróżnieniu od miast na Zachodzie, w Łodzi istnieje realna groźba, że za kilka lat nie będzie już czego zobaczyć. W czasach dostępu chociażby do środków z Unii Europejskiej warto podjąć trud przemiany miasta w światowy przykład twórczego wykorzystania przemysłowego dziedzictwa, jakim pozostaje jedyna w swoim rodzaju, niezwykła przestrzeń miejska. Tylko szanując przeszłość, Łódź może otworzyć sobie szansę na jutro.

Kamil Śmiechowski
xk@gazeta.pl

WAKACJE Z JAM-EM

U jednych wzbudza to radość, u innych trwogę, ale fakty są takie, że za sekund 5 kończy się semestr. Potem zostaje tylko zdać wszystkie egzaminy i rozpoczną się wakacje!!!

Wakacje to dla jednych czas „wielkiego błękitu”, a dla innych okazja do zarobienia paru groszy w kraju lub za granicą. Niezależnie od wybranej drogi, przez te trzy miesiące nadarza się mnóstwo okazji do słuchania muzyki. W związku z tym chciałbym zarekomendować pewien zespół-legendę. Zapewne większość z was zna, a nawet lubi jego dokonania, ale młodszym pokoleniom coraz dalej do „grunge-owej” rewolucji 1991 roku. Piszę tu o symbolu tamtego

przełomu, o grupie **Pearl Jam**. Dla mnie osobiście ich brzmienie to esencja surowego, sięgającego najlepszych tradycji, rocka.

W 1991 roku miałem zaledwie dziesięć lat, a ze wszystkich głośników atakował uszy charakterystyczny riff *Smells Like Teen Spirit* Nirvany. Siła tego utworu, jak i całej płyty, była tak porażająca, że przyćmiła niemal wszystko inne, co powstawało równolegle. A przecież w tym samym roku Metallica wydała swój legendarny *Czarny album*, a w Seattle, czyli tam gdzie nagrywała Nirvana, swoją pierwszą płytę zarejestrowała formacja o dziwacznie brzmiącej nazwie: *Pearl Jam*. Materiał z tego ostatniego longplay-a nie od razu dotarł do mych uszu, zresztą wtedy słuchałem zupełnie innych rzeczy (do niektórych wstyd się dziś przyznać). Gdzieś w dalekim tle pobrzmiwało jednak intrygujące brzmienie gitary i złowieszczy tekst o *Jeremym, który przemówił dziś w klasie*. Niewiele z tego rozumiałem, ale przewijający się gęsto w MTV teledysk do utworu *Jeremy* z diabolicznym wokalistą – Eddim Vedderem opowiadającym tragiczną historię, robił piorunujące wrażenie. I tak się zaczęło.

Debiutancka płyta zespołu – *Ten* stała się ikoną dla całego niemal pokolenia urodzonego w drugiej połowie lat 70-tych. Pamiętam rzesze młodych ludzi, maszerujących ulicami w brązowych sztruksowych kurtkach, zielonych bojówkach i z przetłuszczonymi długimi włosami à la Vedder. Za strojem szło też zamiłowanie do muzyki. Pod koniec lat 90-tych, wraz z krystalizowaniem się moich muzycznych gustów miłość ta zawładnęła i mną. Po fascynacji pierwszym albumem przysła kolej na: *Vs*, *Vitology* czy *Yield*. Za każdym razem poruszał mnie głos Veddera i dopieszczone, choć chropowate brzmienie gitar Stone'a Gossarda i Mike'a McCready'ego i pulsujący bas Jeffa Amenta. Szczególnie do gustu przypadły mi takie utwory jak: *Even Flow*, *Porch*, *Spin the Black Circle*, *Given to Fly*, *Nothingman*, *Oceans...* Długo by jeszcze wymieniać, ale tego trzeba po prostu posłuchać. Czas wakacji jest doskonałą okazją do nadrobienia ewentualnych zaległości w tym zakresie. Sprzyja temu szczególnie charakter muzyki *Pearl Jam*. Pełne energii, porywające gitarowymi szarżami dźwięki doskonale sprawdzają się na trudnych górskich podejściach, jak i na plaży, jako alternatywa dla disco-tandety. Z autopsji dodać mogę, że te chwilami ciężkie brzmienia potrafią także doskonale zrelaksować po dniu męczącej pracy.

Dla tych, którzy dotąd nie mieli okazji zetknąć się z dokonaniem *Pearl Jam* polecić mogę bardzo zgrabnie ułożoną dwupłytkową składankę *Rearviewmirror*. Album ten ukazał się w ubiegłym roku i zawiera przekrój przez właściwie wszystkie ważniejsze nagrania zespołu. Oprócz kompozycji z regularnych płyt znalazła się tam również m.in. cudowna ballada *Crazy Mary*, której próżno było dotąd szukać na jakichkolwiek wydawnictwach grupy.

Bruno Kamiński
santiago_che@wp.pl

Z przyjemnością informujemy, że w naszym Instytucie działa już ogólnodostępna, profesjonalna i nowoczesna Pracownia Kserograficzna i Introligatorska. W szerokim wachlarzu usług znajdują się m. in.:

- *Kserokopie A4 od 6 – 10 groszy*
- *oprawy prac wszelakich*
- *eleganckie passe-partout*
- *wydruki i skanowanie*
- *reperacje i oprawy druków, starych książek, czasopism*

Pracownia oprawia profesjonalnie każdy rodzaj prac bez względu na format i objętość. Oprawy wykonywane są na miejscu, bez korzystania z tzw. gotowych okładek.

Zespół redakcyjny: Zbigniew Głęb, Lidia Jurek, Bruno Kamiński, Andrzej Kompa, Wojciech Marciniak

Współpraca: dr Piotr Krupczyński, Kajetan Rudnicki, Kamil Śmiechowski.

**Drukowano w Pracowni Kserograficznej Instytutu Historii
Uniwersytetu Łódzkiego oraz w Pracowni Introligatorskiej
i Kserograficznej pp. Ewy i Amilkara Kosińskich.**

(OKROJONY) KĄCIK HUMORU

Przechodzą dwaj studenci koło budki telefonicznej, zobaczyli książkę telefoniczną, to weszli i zaczęli czytać. Za chwile jeden mówi do drugiego:

-Rozumiesz coś?

-Nie.

-No to kujemy!

* * *

Rektor uczelni do pracowników wydziału fizyki:

- Dlaczego wasz wydział ciągle pożera tyle pieniędzy z budżetu na te swoje przyrządy i laboratoria ? Czy choć raz nie możecie, tak jak dział matematyki, kupić sobie papier, ołówki i kosze na śmiecie albo tak jak wydział filozofii papier i ołówki ?